

W poszukiwaniu straconej lokalności. Fragmety autobiograficzne

Niniejszy tekst powstał w wyniku rozbudzenia ciekawości nad doświadczeniem, związanym ze szczególnym wymiarem mojego życia, charakteryzowanym przez stan „mediowania” pomiędzy przestrzenią, w której się urodziłem i dorastałem a przestrzenią, którą na powrót zaczynam odkrywać po upływie z górą dwudziestu lat. Kiedy kilka miesięcy temu Krzysztof Piątkowski wraz z Jarosławem Eichstaedtem, zwrócili się do mnie z zaproszeniem wzięcia udziału w konferencji poświęconej tematowi lokalności i regionalizmu¹, znajdowałem się (i po części wciąż się znajduję) w sytuacji „przenoszenia” się z miasta na wieś, wieś o tyle wyjątkową, że pamiętającą moje pierwsze rozpoznania świata; wieś (i las) pozwalające spoczywać kamieniom, jak ująłby to Wiesław Myśliwski, na wskroś owładniętym złymi i dobrymi duchami przeszłości² – *mojej* przeszłości. To oczywistość, ale ważka – przeszłość nie istniałaby bez *teraźniejszości*, *mojej* *teraźniejszości*, ściślej, nie istniałaby (przejawiałaby się?) w formach, jakie nadaje jej *teraz* myśląc o *wtedy*. *Moja* *teraźniejsza* codzienność, każdego dnia od nowa *wytapia* przeszłość, i na odwrót – przeszłość *modeluje* *teraźniejszość*, pozwalając mi na *budowanie*, *zamieszkiwanie* i *myślenie*³ o nich obu łącznie. Punkt przecięcia *minionego* z *obecnym* konstituuje zatem, podpieram się istotnym spostrzeżeniem Paula Ricoeura, *tego-który-jest-sobą*, krystalizując w nim wychylenie ku interpretacji konkretnego życia⁴.

¹ Prezentowany artykuł powstał na podstawie referatu wygłaszanego podczas konferencji *Lokalność i regionalizm we współczesnych kontekstach społeczno-kulturowych*, zorganizowanej przez Katedrę Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Wrocławskiego oraz Muzeum Wnętrz Dworskich w Ożarowie, Ożarów, 24–25.05.2012 r.

² Nawiązuję do autobiograficznej powieści W. Myśliwskiego *Kamień na kamieniu*, Warszawa 1984.

³ Frazę tą sięgam do pracy M. Heideggera *Budować, mieszkać, myśleć. Eseje wybrane*, przeł. K. Michalski *et al.*, Warszawa 1977.

⁴ Por. P. Ricoeur, *O sobie samym jako innym*, tł. B. Chelstowski, naukowo opracowała i wstępem opatrzyła M. Kowalska, Warszawa 2005. Ricoeur rozróżnia dwa typy tożsamości, ukierunkowując nas albo na pojmowanie jej w perspektywie złożenia cech zobiekty-

Przedstawione poniżej fragmenty autobiograficzne stanowią próbę uchwycenia życia zatopionego w mikrodramacach⁵, celują w uważną, ale zarazem często niezwykle ulotną obserwację antropologiczną⁶, uruchamianą mimowolnymi skojarzeniami, przychodzącymi i odchodzącymi w najmniej spodziewanych momentach: podczas grzybobrania, kopania dołu, rowerowej wyprawy do piekarni, spontanicznego spotkania z dawnymi znajomymi, czy w chwili kontemplacji późnojesiennego, nasyconego „cudownością” poranka. Szkiecując słowne obrazy, uchylam kolejne mniejsze i większe furtki do szarej sfery pamięci, ulegającej nagłym zabarwieniom i sprzyjającej, jak podpowiada Jurij Łotman, pojawieniu się „eksplozji znaczeniowej”⁷. W ten sposób dochodzi do przekroczenia rozstępu istniejącego między tym, co (z pozoru tylko?) *nieprzekładalne*, a tym, co *daje się już jakoś wyrazić*. Rozumienie danych zdarzeń, rzeczy, obecności innych ludzi, miejsc, opowiadanych i wyśnionych historii, wyłania się w rwanym procesie *odmładzania* starych struktur mentalnych, uwidaczniających swą siłę w percypowaniu ułamków podwojonej (gdyż pochodzącej z *dziś* i z *wczoraj*) rzeczywistości. Nierównomierne, szukające pamięciowych zaczepów suwanie się po osi czasu daje przy tym momentarne wglądy w siebie, wyzwalaając strumienie świadomości, przekształcające się ostatecznie w autorefleksję i autoanalizę; celem zaś wszystkich tych zabiegów

wizowanych lub obiektywnych podmiotu (*tożsamość la mêmété*), albo też, by przedstawić rzecz zwięźle, rozumienie jej przez pryzmat zdolności podmiotu do „określenia siebie jako autora swoich słów i swoich aktów”, podmiotu co prawda dopuszczającego swą zmienność, ale mimo to odpowiedzialnego „za swoje wypowiedzi i swoje działanie” (*tożsamość l'ipséité*) (P. Ricoeur, *Autobiografia intelektualna*, [w:] *idem, Refleksja dokonana. Autobiografia intelektualna*, tł. P. Bobowska-Nastarzewska, Kęty 2005, s. 49).

⁵ Słowo „mikrodramat” sytuuję w obrębie semantycznym bliskim intuicjom E. Domańskiej, mówiącej o „mikrohistoriach” (E. Domańska, *Mikrohistorie. Spotkania w międzyświatach*, wydanie drugie uzupełnione i uaktualnione, Poznań 2005).

⁶ To, co nazywam obserwacją antropologiczną jest w istocie rodzajem metodycznej pracy autobiograficznej, jaką wykonuję, obcując z przetwarzanym w myśli i słowa własnym doświadczeniem; pracy szukającej inspiracji m.in. w pobudzającej umysł i wynajdującej codzienność twórczości M. de Certeau (*Wynaleźć codzienność. Sztuki działania*, tł. K. Thiel-Jańczuk, Kraków 2008; *Wynaleźć codzienność. Mieszkać, gotować*, tł. K. Thiel-Jańczuk, Kraków 2011), kronikarskim i nasyconym dobrze pojmowaną prowokacyjną ironią widzeniu świata przez R. Sulimę (*Antropologia codzienności*, Kraków 2000) oraz wychylonych ku epifaniami, szukających żywego człowieka odkryciach A.P. Wejlanda (*Latem w parku. Epifanie codzienności*, [w:] *Lato w mieście. Różne oblicza kultury*, red. R. Godula-Węclawowicz, Warszawa – Kraków 2010, s. 145–162).

⁷ J. Łotman, *Przecięcie semantyczne jako eksplozja znaczeniowa. Natchnienie*, [w:] *idem, Kultura i eksplozja*, tł. i słowo wstępne B. Żyłko, Warszawa 1999, s. 49–56.

jest systematyczne (wykraczające daleko poza obręb prezentowanego tu artykułu) tworzenie **anatomii wielkiego powrotu**, możliwie jak najbardziej skrupulatnego opisu, składającego w całość rozrzucone przez los odpryski życia.

6 maja 2012

M. stwierdza, że jakkolwiek bym się starał i jak długo żył bym w mieście, część mojej głowy zawsze pozostanie „tutaj” – na prowincji (wszystko rozbija się o moje usilne wzbranianie się przed myciem samochodu „na myjni”, a nie na podwórku przed domem); rozmawiamy o byciu „swoimi obcymi” i „obcymi obcymi” – gradacja obcości wyraźnie uwidacznia się w naszych codziennych relacjach z autochtonami, kiedyś po prostu moimi kolegami, dziś, odkąd częściej bywam „na wsi” – znowu kolegami. Jestem stąd i nie jestem. Jak we wspomnieniach braci A., snutyh przy okazji wspólnego kopania dołu:

„Ja ciebie, Marcinku, pamiętam z czasów, kiedy chodziliśmy razem do szkoły”, „Ja ciebie też” – odpowiadam [przez myśl przebiega mi historia, kiedy jednego z nich, zmarzonego na kość, półżywego znaleziono w alejce prowadzącej do szkoły]; mówię o tym M., ale ona nie wie, co to jest „alejka”; wpadam w szczelinę, przesączam się jakby na drugą stronę czasu; teraz ja jestem „tu i stąd”, ona jest „tu i stamtąd”.

Inna scena, w sklepie:

„Ja pana pamiętam”, „Tak?”, „Tak”, „To jak się nazywam?”, „Marcin Kafar”, „Tak. Zgadza się” [w myślach: „Ja ciebie też pamiętam, pamiętam jak się nazywałeś, ale za Boga nie mogę przypomnieć sobie twojego imienia]; rozmowa toczy się dalej, tyleż uprzejmie, co... bezosobowo.

Sploty mentalnych niewspółmierności – tak mógłbym spuentować lekturę naszej, M. i mojej, ulubionej lokalnej gazety:

„Tragedia w Rakowie. Zginął człowiek”

„Wiosenna Loteria w Focus Mall”

„Na widok policjantów porzucili skradzione skutery”

„Wpadł podczas ukrywania łupów”

„Po angielsku śpiewają nawet przedszkolaki”

„Miejski Ośrodek Kultury odwiedzi Szymon Wydra”

„Na bobry nie ma rady”

„Norwegowie w Szydłowie”

„Fani reggae bawili się w Wolborzu”
„Będzie referendum. Czy odwołają wójta Ręczna?”⁸.

11 maja 2012

Rozmowa z M. na temat naszych relacji z przestrzenią. Rosja, Ukraina z nieznanych i odległych, stopniowo – w pierw przez lektury o nich, grę wyobraźni, prowadzącą do wywołania wymaganych obrazów, a potem rzeczywiste bycie „tam” – stają się nam bliższe, wielowymiarowe i namacalne; otwieramy się na zapachy, chłonimy dźwiękowe idiomy, a oczy starają się dopaść umykający krajobraz w podróży „marszrutką” albo przyszpilają lokalną obyczajność (w barze w Iwano-Frankowsku/Stanisławowie, człowiek-niedźwiedź duszkiem wychylił szklanekę wódki, zjadł kurczaka, strzepnął kości na podłogę, wychylił drugą szklanekę wódki i prostym krokiem odszedł w nieznane). M. nazywa to „zapełnianiem pustych przestrzeni” [5 października 2012 – odkrywam wadliwość pamięci; M. koryguje mnie, upierając się, że mówiła o „wypełnianiu mapy, a nie pustych przestrzeni”].

Odwrotny kierunek: cali jesteśmy miejscem, w którym się urodziliśmy. Słabo, jeśli w ogóle oddzielamy się od tła. Nie rozumiem lęku M. przed ćmami – ćma to ćma, kawałek skrzydlatego, pokrytego mchem robactwa, całkiem niegroźnego – dla mnie; tymczasem: „Boję się lasu”, „Mam wrażenie, że las nocą mnie pożera”, „Zamknijmy drzwi i okna na noc, żeby nic nie wpadło nam do domu” – do znudzenia powtarza M.; M. za dnia często wędruje po lesie, to ciekawe, jak na swój sposób wydeptuje w nim własne ścieżki, oswaja „dzikie” przedtem przestrzenie znalezione „w tym miejscu” stojakiem lub prawdziwkami. Dla niej nazwy „na cyplu”, „na skarpie”, „na zakręcie”, „na murańcu” zupełnie nic nie znaczą – dla mnie znaczą wszystko, wszystko to, co zamyka się w horyzoncie bezpowrotnie minionego dzieciństwa.

12 maja 2012

Wracamy z M. do miasta. Po dwóch godzinach czujemy się tak, jak gdyby kilka ostatnich dni spędzonych na wsi było mirażem. Nawet pogoda zdaje się to sugerować: z 30 stopni Celsjusza wczoraj, dziś zrobiło się 15. Pada deszcz,

⁸ Przywołane cytaty pochodzą z „Tygodnia Trybunalskiego”, nr 17/18, 26 kwietnia 2012.

wieje zimny wiatr, a Terenia, przygarnięta ze schroniska suczka-kundelek, głównie śpi – pewnie nie tylko ze zmęczenia...

13 lipca 2012

Odwiedziny Michała. Rozmawiamy o urządzeniu przez sąsiadów działek. Prawie każda posesja wyposażona jest w basen. My nie mamy basenu. Podobnie jak dwa pozostałe chłopskie gospodarstwa (oni wciąż „trzymają” konie, kury, gęsi i kaczkę), swoją basenową wstrzeźliwość przypominamy szczerby w pięknym uzębieniu. Zasięgnąłem języka – baseny są z tworzywa sztucznego, kupuje się je po kilkaset złotych za sztukę w Castoramie, Leroy Merlin, OBI. Dzięki korporacyjnym sieciom bezbłędnie trafiającym w gusta nowobogackich prowincjuszy, życie letnią porą (a w weekendy przede wszystkim) toczy się w rytm pluskania, napowietrznego nawoływania się, popijania drinków w „zupowatej” wodzie. Poszliśmy z Michałem nad rzekę – w piękny słoneczny dzień na skarpie, gdzie kiedyś nie wcisnąłbyś bodaj szpilki, byliśmy sami...

14 lipca 2012

Zabieram Michała na przechadzkę po Włodzimierzowie. Z oddali pokazuje mu dom, w którym mieszkałem. Jest mi zupełnie obojętny. Budynek – nic więcej. Ogród, systematycznie pielęgnowany przez mamę, teraz reprezentuje styl angielski. Dom własnoręcznie budował mój ojciec, ale nie mam pewności, czy lubił go choć trochę. „Spójrz” – mówię beznamiętnie, „tam, gdzie widać ukośne okno był mój pokój”, zawracamy; mijamy działkę pani Kamińskiej, arystokratki z krwi i kości [pamiętam organizowane przez nią bale dla dzieci], później zatrzymujemy się pod szkołą, przy barierce [ta skradała nam sporą część wolnego czasu, skutecznie nęcąc wykoślawionymi prętami]; dalej prowadzi nas ul. Łęczyńska, zapraszając na górkę [w tym miejscu była meta wyścigów kolarskich, 12-kilometrowych „czasówek”] i... to niespodzianka, nie ma już łąk, z łagodnie wrastającymi w nie szpalerami iglastych drzew, są za to przycięte w prostokąty działki, szczerze odgradzone jedna od drugiej; na płotach pozawieszano tabliczki informujące o odpowiednich zabezpieczeniach, w jakie przezornie zaopatrzyli się ich właściciele, posiadacze „zgrabnych” willi.

Letni dzień (2012)

Jesteśmy z M. w Piotrkowie Tryb. Idziemy ul. Dąbrowskiego. M. koniecznie chciała mi coś pokazać. Prowadzi mnie pod kamienicę, gdzie znajdują się inskrypcje w języku rosyjskim. Nigdy ich nie widziałem, a chodziłem tędy setki razy. Tyle że bez M...

Połowa września 2012

Pierwszy powakacyjny wyjazd do Łodzi. W miejskim mieszkaniu odczuwam silne „skurcze” przestrzeni. Mieszkanie jest chudobiedne, żeby nie powiedzieć – podupadłe. Niesprawne gniazdka elektryczne, piecyk gazowy, który nie chce „odpalić”, wywołują we mnie nieodparte wrażenie powolnego „rozkruszania” się tego miejsca. Kiedy myję ręce, orientuję się, że są one w opłakanym stanie; podeszłe krwią odciski na prawej dłoni, ślady pracy fizycznej nie pasują do roli, w jaką wcielię się następnego ranka. Wykładowca akademicki powinien mieć czyste, zadbane dłonie. Przez dobrą godzinę staram się więc usunąć oznaki prowincjonalnego istnienia, niestety – na próżno [**3 listopada 2012** – M. przywołuje cytata z *Bambini di Praga* Bohumila Hrabala: „są takie plamy, których nie można wyczyścić bez naruszenia osnowy materiału”].

20 września 2012

Wracamy z M. samochodem z miasteczka. Z tylnego siedzenia płynie opowieść o tym, że M. nie rozumie niektórych wątków, pojawiających się w jej rozmowach z fachowcami. „Pan Cz. zakłada, że ja wszystko wiem – nic bardziej mylnego. Nie wiem, o kim mówi, nie znam tych osób, nie znam miejscowości, nie wiem, gdzie one leżą. Oni traktują mnie tak, jakbym była tobą” [**17 listopada 2012** – przedziwne skojarzenie M.: „Zawsze” – powiada „wydawało mi się, że powiat piotrkowski ciągnie się tylko na wschód od miasta, nie umiem tego wytłumaczyć, przecież to jest irracjonalne”; M. pochodzi z Łodzi].

1 listopada 2012

Za oknem cisza. Jestem sam, M. pojechała do Łodzi, ja „przeziębiony jak zwykle, wtedy, kiedy są święta” dochodzę do siebie. Około 6 wybrałem się na cmentarze

do Sulejowa i Włodzimierzowa. Zostawiłem kwiaty i zapaliłem znicze na grobie ojca i u dziadków. Po powrocie do domu napaliłem w piecu i sprawdziłem działanie kaloryferów, podgrzałem jedzenie dla psa. Kuchnia tymczasowo urządzona jest w piwnicy; mamy tam okno, a właściwie okienko, specyficznie „moderujące” perspektywę widzenia późnojesiennego świata. Wzrok znajduje się na poziomie dwudziestu, trzydziestu centymetrów nad ziemią – to w zupełności wystarcza, żeby ogarnąć, co dzieje się w pobliżu bramy i dalej, w zagajniku rosnącym za szutrową drogą, o tej porze roku pozostającą we władaniu sójek, srok, sikorek, zającycy i szarego kota szelmy (parę tygodni temu, w trakcie zabawy, nieomal odgryzł ucho Tereni). Niedawno M. zwierzyła mi się, że gdy wygląda przez piwniczne okienko, rzeczy dla innych zapewne wielkie i ważne, jej wydają się „nikłe i banalne” [**5 listopada 2012** – M. parafrazuje słowa Andrzeja Stasiuka, czyniąc z nich motto dla wybierających życie na prowincji: „Przyjechałem tutaj, ponieważ chciałem, żeby już nic się nie wydarzyło”].

Pościel, którą właśnie ściągnąłem z tarasu pachnie orzechowo-kasztanowym zimnem...

12 listopada 2012

M. jest przeziębiona. W drodze po apteki spotykam ciotkę; podąża ociężale, podpira się laską. Zagaduję – przystaje. Raportuje, że była u lekarza: „Biorę krople, takie co mi pomagają na gule w piersiach, rozpuszczają te gule i mogę normalnie oddychać... Na rowerze jeszcze jeżdżę”...

Scena w aptece: przy kasie stoi staruszka – to pani W.; kupuje sporą ilość specyfików, jest przy tym bardzo zapobiegliwa. „Proszę zapisać mi na opakowaniu, na co to jest” – instruuje aptekarkę. Ta dzielnie, choć z niejakimi kłopotami (tusz w długopisie nie sprawdza się na powleczonej celofanem tekturze pudełek) notuje: „Na serce”, „Na sen”, „Na lepsze samopoczucie”, „Na wątrobę”, „Na krążenie”... Pytam panią W., ile ma lat, „A ile mogę mieć?”, „Dziewięćdziesiąt?” – zgaduję, patrząc na jej szczelnie pokrytą zmarszczkami twarz, „85” – odpowiada z żalem w głosie i konstatuje: „Staro wyglądam...”. Dopiero kiedy odchodzi od lady, zauważam leżące na stoliku przy wyjściu kule: „Mam nadzieję, że jeszcze z raz uda mi się przyjść tu o własnych siłach, na cmentarz już nie dojdę” – mówi, niezdarne wpuszczając ręce w plastikowe uchwyty...

W drodze powrotnej w oddali dostrzegam kolejną przygarbioną postać idącą o lasce – rozmywa się w lekko zamglonym powietrzu, niczym upiór [**6 października 2012** – pan Cz. i pan B. nawiedzili nas z okazji zakończenia kolejnego

etapu prac budowlanych; ucztowaliśmy rytualnie, dzieląc się opowieściami. Jedna z historii przywołana przez pana Cz. (została wyszeptana do ucha M.) była szczególnie intrygująca: w Sulejowie, za młodszych lat pana Cz. żył Dziadek. Postać Dziadka otaczał nimb niezwykłości. Otóż, Dziadkowi, w co wierzyła cała okolica, pewnym sprytnym posunięciem, długo udawało się... oszukać śmierć. „Dziadku”, pytano go z należytą starcowi estymą, „dlaczego pijecie akurat po tej stronie mostu?”, „Bo śmierć grasuje dziś za rzeką” – roztropnie odpowiadał Dziadek].

*

Przedwczoraj miałem sen. Jego akcja rozgrywała się równolegle na Zaciszu i Nowym Osiedlu (to dzielnice położone odpowiednio na wschód i zachód od miejsca, gdzie mieszkamy). Oniryczna sceneria była ślapstickowa, ludzie przerysowani, a ja jakby niewidzialny. Lotem błyskawicy przebiegałem przez środek czyjegoś domu, wychodziłem z piwnicy, zeskakiwałem z dachu i bezmyślnie kręciłem się po przydomowych trawnikach. Wreszcie zorientowałem się, iż na dobre pochłonął mnie labirynt ogrodzeń, umiejscowionych na usypanych z piachu tarasach. Co dziwne, miałem ze sobą drabinę, której z jakichś przyczyn nie mogłem lub też, to bardziej prawdopodobne, nie chciałem użyć, aby wy dostać się na zewnątrz. Obudziłem się, myśląc o kolistości losu.

Coda

W rękę trzymam *Chwile istnienia*, zbiór esejów Virginii Woolf⁹. Książkę tę pewnego lipcowego przedpołudnia bystre oko M. wypatrzyło „na rynku” w Sulejowie. *Moments of Being* leżały zagrzebane w stercie PRL-owskich „tygrysków”, mniej więcej tak samo starych wydań powieści Agathy Christie i równie leciwych podręczników do szkoły podstawowej. O ile pomnę, sprzedawca wycenił je na 4,5 złotego, realnie odnosząc się w ten sposób do skali zainteresowania, jakie mogłoby towarzyszyć autobiograficznym rozważaniom autorki ze strony potencjalnych nabywców jej dzieła. Czy bowiem pisana z filozoficznym zacięciem historia życia angielskiej arystokratki, byłaby w stanie przyciągnąć uwagę kogoś innego niż kto – jak ja – przebył drogę „tam” i „z powrotem”? To pytanie retoryczne. Filozofia na sulejowskim targowisku, jeśli w ogóle się pojawia, przyjmuje zdecydowanie mniej wyrafinowaną formę, niż

⁹ V. Woolf, *Chwile istnienia. Eseje autobiograficzne*, tł. M. Lavergne, Warszawa 2005.

ta oferowana nam przez Woolf; zamyka się w zdroworozsądkowych dialogach typu: „Janek, mógłbyś lepiej pokazywać ten towar klientom”, „Pokazuję, pokazuję, aż od tego pokazywania cała gęba mnie boli”, czy też, mających uzewnętrznić błyskotliwość ich autorów, frazach: „I jak to jest, że jedna noga człowieka idzie do przodu, a druga do tyłu?” lub „Człowiek to zwierzę, jak się uchła, to chodzi na czterech”.

Antropologiczna (tutaj: interpretująca) część mnie – to kolejne mikroobjawienie, jakiego doznaję – nieustannie *kolaboruje* z częścią wszystkimi zmysłami zatopioną w światach *teraźniejszym* i *przeszłym*. Jednocześnie, moje antropologiczne „ja” osadza się i szuka pożywienia zarówno, by użyć języka stosowanego przez Virginie Woolf, w „nieistnieniu”, pozbawionej mocy zostawiania trwałych śladów „wacie codzienności”, jak i „wyjątkowych chwilach”, nazywanych także „chwilami istnienia”¹⁰. Proporcje między „nijakością” a „wyjątkowością” są zachwiane. „Každy dzień zawiera o wiele więcej nieistnienia niż istnienia”¹¹ – czytamy w *Szkicu z przeszłości*, i dalej: „Wielkiej części każdego dnia nie przeżywa się świadomie. Chodzę, jem, widzę różne rzeczy, zajmuję się tym, co trzeba zrobić: popsutym odkurzaczem, dyspozycjami co do kolacji, napisaniem poleceń dla Mabel, praniem, gotowaniem obiadu, oprawianiem książek. Kiedy dzień jest zły proporcja nieistnienia jest o wiele większa. Miałam lekką gorączkę w zeszłym tygodniu; niemal cały dzień był nieistnieniem”¹². Jednak, po krótszym lub dłuższym okresie nieistnienia, nagle pojawia się „gwałtowny wstrząs”, przybierający postać trudnego do zatarcia odczucia, uporczywej wizji, przenikliwego spostrzeżenia, niezwykle żywego obrazu, przejmującej impresji etc.; „nagłe wstrząsy” (niekiedy uderzające z siłą młota pneumatycznego) karmią wspomnienia, to po pierwsze, po drugie – są zaczynem pisarskiego tworzywa: „zdolność ulegania wstrząsom jest tym, co sprawia, że jestem pisarką” – zwierza się Virginia, dodając: „Zaryzykuję wyjaśnienie, że w moim przypadku po wstrząsie natychmiast pojawia się pragnienie wyjaśnienia go. Czuje, że otrzymałam cios, ale nie jest to, jak myślałam, będąc dzieckiem, po prostu cios od wroga ukrytego za watą codziennego życia; jest to albo będzie jakiegoś rodzaju **objawienie; to znak czegoś prawdziwego pod pozorami**; a ja czynię to prawdziwym, ujmując w słowa. Jedynie ujmując w słowa, czynię z tego całość”¹³.

¹⁰ Por. *eadem*, *Szkic z przeszłości*, [w:] *ibidem*, s. 169–335.

¹¹ *Ibidem*, s. 180.

¹² *Ibidem*, s. 181.

¹³ *Ibidem*, s. 183–184; podkr. M.K.

Wiem: stając się antropologiem, utraciłem kulturową niewinność, na zawsze. Co zyskałem? Klucz do odczytania świata – *mojego* rozpołowionego świata, który czynię prawdziwą całością, ujmując go w słowa.

Podziękowania

Dla Marty Kozłowskiej, za wspólne chwile istnienia i mądrą lekturę tych fragmentów.

Summary

In Quest for Lost Localness. Autobiographical Pieces

The text consists of a selection of autobiographical pieces that are treated by their author as a means of “touching” his meaningful past. A moment of moving into a village where the author was growing up provokes him to re-discover different aspects of what might be called “anatomy of the big return”. Visiting “forgotten” spaces, encountering old acquaintances or immersing in common situations, such as digging a hole, going to the baker’s shop etc. give him a chance to compare “the now” with “the past”. An act of scrutinized observation serves here as an anthropological tool that gradually transforms (remembered) life into textually oriented autoreflexion and autoanalysis.

The author searches for conceptual frame for his autobiographical/anthropological endeavour on the ground of, between others, Michel de Certeau’s theory of everyday life, Roch Sulima’s anthropology of day-to-day existence, and, last but not least, epiphany-centered project proposed by Andrzej P. Wejland. Paul Ricoeur, Yuri Mikhailovich Lotman and Virginia Woolf are thinkers that also played an important role in developing author’s interpretive background.